

Jego pierwsza **MIŁOŚĆ**. Jej niebezpieczna **OBSESJA**.

CIEŃ PIERWSZEJ ŻONY

Przełożyła Urszula Gardner

ADELE PARKS



ADELE PARKS

CIEŃ PIERWSZEJ ŻONY

Przełożyła z angielskiego

Urszula Gardner



TYTUŁ ORYGINAŁU:

First Wife's Shadow

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczynie: Agnieszka Fiedorowicz

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © FrankBoston, © stone36 / Stock.Adobe.com

Grafika na stronach rozdziałowych: © vuang / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Originally published in the English language
by HarperCollins Publishers Ltd. under the title

First Wife's Shadow

© Adele Parks 2024

Translation © Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus Spółka
Komandytowa 2025, translated under licence from HarperCollins Publishers Ltd.
Adele Parks asserts the moral right to be acknowledged as the author of this work.

Copyright © 2025 for the Polish edition by Mova an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Urszula Gardner, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-999-3

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



1

EMMA

Luty

Wierzę w rutynę. W dyscyplinę. W ciężką pracę. Czyni mnie to mało popularną, ale pomaga mi odnosić sukcesy. Dlatego powtarzam sobie: nie przejmuj się nienawistnikami. Nie bez powodu narzucam sobie zasady i ustaląm porządek. Gdy z nich zrezygnować, wszystko zaczyna się sypać. Najlepiej o tym wiedzą dzieci alkoholików.

W zwykły dzień tygodnia wstaję osiem po piątej, po czym przez dziewięć minut kolejno ubieram się, schodzę na dół, wyłączam alarm, łykam witaminy, napełniam kubek termiczny wodą i otwieram drzwi frontowe, aby wyjść na zewnątrz. Przez następne czterdzieści trzy minuty pierwszej godziny po przebudzeniu biegam – zwykle osiem kilometrów. Przeciętna kobieta biega w tempie dziesięciu i pół kilometra na godzinę. Przeliczcie to sobie. Jestem lepszą biegaczką od przeciętnej.

Biegi uprawiam w każdą pogodę, we wszystkie pory roku. Mieszkam w lesistej okolicy, gdzie bieżnia nie może konkurować

z naturą. Świeże powietrze w płucach; uderzenia, użądlenia czy uklucia żywiołów, dzięki którym czuję, że żyję. Bieganie latem to czysta przyjemność – któż nie lubi oglądać wschodów słońca – ja jednak biegam także w mroczniejsze miesiące, kiedy może się zdawać, że słońce nigdy nie wstanie, że co najwyżej udaje mu się chyłkiem przetaczać hen za chmurami na sinym niebie. Znajomi mówią, że bieganie w lesie po ciemku w lutowy poranek to głupota. Ja uważam, że coś takiego stwarza okazję. Co cię nie zabije, to cię wzmocni, prawda?

Po powrocie do domu sprawdzam nagłówki, następnie spędzam dwanaście minut na serii asan znanych jako powitanie słońca – trening kardio może i jest dobry dla serca, ale ja nie chcę, żeby kości mi się zastały, dlatego preferuję jogę. Niektórzy sądzą, że przesadzam. Nie wydaje mi się, po prostu dążę do równowagi. Biorę prysznic, odbębniam wszystkie rytuały niezbędne, by spowolnić proces starzenia, po czym zaglądam do mediów społecznościowych, aby się przekonać, ile pojawiło się nowych wzmianek o AirBright, farmie wiatrowej, na której czele stoję. Przebieram się i przygotowuję smoothie z jarmużu, selera i pietruszki. Smakuje okropnie, ale jest bardzo zdrowe. Przeglądam e-maile, lecz żadnego nie otwieram, chyba że przysłał mi coś dyrektor finansowy albo szef PR-u. Czasami, gdy nic mnie nie goni, popijam zieloną breję przy ladzie śniadaniowej, czytając prywatne esemesy i wiadomości. Moje przyjaciółki Heidi i Gina nagminnie bombardują mnie króciutkimi informacjami o swoich dzieciach – a moich chrześniakach. To zawsze sprawia, że się uśmiecham. W te dni, w które powinnam być w londyńskim biurze, wychodzę z domu dwie po wpół do siódmej i jadę autem na dworzec – podróż trwa raptem dziewięć minut, ale muszę dać sobie margines ze względu na traktory spowalniające ruch na wąskiej drodze – gdzie łapię pociąg, ten o szóstej

czterdzieści dziewięć. Staram się być przy biurku za kwadrans ósma. Siedemdziesiąt pięć minut przed czasem ustanowionym w umowie, dziewięćdziesiąt minut przed tym, zanim zaczną się pojawiać inne osoby z kierownictwa.

Trzymam się tej rutyny, odkąd pamiętam. W tym czasie zdarzały się odstępstwa, jeśli chodzi o czas dojazdu i smak smoothie. Zmieniała się też – na coraz wyższą – moja pozycja w firmach, dla których pracowałam, lecz nie reszta, biegi czy zjawianie się w biurze przed innymi. Ustalonego porządku dnia przestrzegam nawet we własne urodziny. Mam czterdzieści siedem lat.

Ostatnia informacja wprawia ludzi w zdziwienie. Sapią z wrażeń i zapewniają, że nie wyglądam na swój wiek. Tak naprawdę jednak myślą sobie: „Cholera, tyle starań przez tyle lat? Czy warto?”, ponieważ w większości są nieco leniwi, samowolni i pragną żyć z dnia na dzień przy możliwie najmniejszym wysiłku; moja wierność rutynie ich przeraża. Nikt jednak nie mówi nic głośno – być może dlatego, że ludzie na ogół są uprzejmi, a być może dlatego, że gros osób, z którymi utrzymuję kontakt, pracuje dla mnie i każda woli mieć mnie po swojej stronie. Nikt nie musi mówić, że jego zdaniem wkładam we wszystko zbyt dużo energii. Widać to po twarzach pełnych zażenowania, a właściwie skomplikowanej mieszanki współczucia, że tak usilnie się staram, i żalu, że przynosi to wyniki. Co do mnie, nie ma chyba większej realistki, jeśli chodzi o karty otrzymane od losu. Nie ma we mnie niczego wyjątkowego – nie jestem ani szczególnie bystra, ani szczególnie ładna. Nie odkryłam w sobie żadnego talentu, nie zostałam malarką, pisarką, tancerką ani śpiewaczką, co niewątpliwie wyróżniłoby mnie z tłumu. Za swoją zdolność poczytuję wierność rutynie. Poza tym jestem racjonalna, sumienna, ostrożna. Rezultat? Zarabiam okrągłą sześciocyfrową sumkę. Szczęściara ze mnie.

Z powodu tego, że nikt otwarcie nie podważa sensu ciągłego wysiłku i skrupulatności, właściwie nigdy się nie zastanawiałam, jak bym w razie czego odpowiedziała. Przyznaję, że utrzymanie figury wymaga wielu starań, ale przecież robię to z myślą o mojej przyszłości: znacząco dłuższej i zdrowszej niż przeciętna. Nie mając męża ani dzieci, nie mogę zakładać (czy choćby liczyć), że ktoś zaopiekuje się mną, kiedy się zestarzeję. Będę musiała płacić za opiekę, a zatem decyzja o zachowaniu jak najlepszego zdrowia jak najdłużej jest chyba rozsądna.

Ale... Cóż... Ostatnia noc...

Potrząsam głową. O czym ja w ogóle myślę? Jedna jaskółka wiosny nie czyni, tak samo jak jeden stosunek nie czyni związku. Choć technicznie biorąc, było ich aż trzy. Trzy stosunki. I facet mówił coś o wspólnej przyszłości. Na dodatek to nie był tylko czysty seks, ale...

Nie mam pojęcia, jak dokończyć to zdanie.

Jeśli powiem „coś wyjątkowego”, nie poznam sama siebie.

Rzecz w tym, że dziś rano wydarzyło się coś, co zakłóciło moją rutynę. Zanim wyszłam z domu, zajrzałam do sypialni, by popatrzeć na śpiącego w niej mężczyznę. Leżał na brzuchu, ściskając oburącz poduszkę, co może wydawać się zniewieściałe, lecz bynajmniej takie nie było. Ponieważ mowa o dużym, owłosionym, muskularnym mężczyźnie, którego męskość – w mojej sypialni niemal ordynarna, a z pewnością egzotyczna – sprawiła, że aż głośno sapnęłam ze zdumienia. Czyżby nie było niedorzecznością liczyć, że ktoś zaopiekuje się mną w przyszłości? Że ja zaopiekuję się kimś? Przyglądałam się jego unoszącej się piersi: wdech, wydech, wdech, wydech. Wciągał moje powietrze. Swoje powietrze. Mężczyzna cud. Wielki, pocący się, czasem genialny, czasem głupkowany, zgodny, kłótlivy, seksowny, uparty cud.

W dodatku od teraz – mój.

2

Styczeń

Zostałam szefową największej brytyjskiej farmy wiatrowej – AirBright – siedem lat temu. Gdy mnie awansowano na to stanowisko, niektórzy w branży pomrukiwali, że postawienie kobiety u steru firmy to nic więcej jak PR-owska sztuczka, cyniczne zagranie zarządu, który pragnie wypaść nowoczesnie dzięki wdrożeniu różnorodności genderowej. Na pięćdziesiąt jeden procent populacji Wielkiej Brytanii składają się kobiety, a mimo to zatrudnienie przedstawicielki płci pięknej traktowane jest jako wdrażanie różnorodności genderowej. Z wykształcenia jestem księgową, ale nie nadążam za taką matematyką.

Nieważne. Ludzie mogą gadać, co chcą. Już w dzieciństwie, jako córka alkoholika (i w rezultacie tego wszystkiego, co się wydarzyło potem), zrozumiałam, że ludzie gadają o mnie tak czy inaczej, ignorując moje cechy charakteru, postępowanie i nawet samą prawdę – dlatego dawno temu powzięłam decyzję, by robić wyłącznie to, co jest dobre dla mnie. Uważam, że to jedyny

sposób na zachowanie zdrowych zmysłów. Obecnie dobre dla mnie jest to, co jest dobre dla przyszłości Ziemi. Staram się uratować naszą planetę. Wolę więc myśleć, że po prostu byłam najlepszą kandydatką na stanowisko dyrektora generalnego. Robię to, co umiem najlepiej. I tyle. Preferuję zarządzanie bezpośrednio, można więc powiedzieć, że to ja kieruję firmą, ale też słucham, co mają do powiedzenia szefowie różnych działów. Dyrektor marketingu był tym, który zasugerował, że powinnam się częściej pokazywać – wynikiem czego znajduję się teraz w ogromnym, niosącym się echem centrum kongresowym w Edynburgu (a jest środek zimy!) i stojąc pod banerem z napisem: „Energia wiatrów to pachnąca czysta energia”, wymieniam uściski dłoni z niezliczonymi delegatami, którzy tak jak ja przejmują się klimatem.

Dostrzegam go natychmiast, i to pozazmysłowo, co samo w sobie jest intrygujące.

Jest wysoki, mierzy prawie metr dziewięćdziesiąt, ma wspańnięte zęby, a jego głowę zdobi czupryna czarnych kędzierzawych włosów. Nie można mu odmówić atrakcyjności, zwłaszcza z tą symetryczną twarzą i mocno zarysowaną szczęką. Niektórzy nie lubią takich oczywistych rysów, ja jednak nie należę do osób aż tak subtelnych. Rzucająca się w oczy przystojność mnie nie razi, przeciwnie. Mężczyzna, na którego zwróciłam uwagę, ma na sobie poprzecierane džinsy – poprzecierane, czyli naprawdę znoszone, nie te designerskie, które kupuje się już wyblakłe – oraz granatowy sweter robiony na drutach luźnym ścięgiem. Przez ramię przrzucił sterany skórzany plecak, markowy, ale wyraźnie stary. W dzianinie na wysokości barku widzę dziurkę, a przez nią – jego skórę. Muszę użyć całej siły woli, by nie dotknąć go w to miejsce. To dziwne, szczególnie w moim przypadku, ponieważ nie jestem kimś, kto dążyłby do kontaktu cielesnego. Pomimo imponującego wzrostu i ewidentnej urody mężczyzna nie

wypełnia przestrzeni, jak można by się spodziewać. Poznać po nim jakiś opór, jakieś ociąganie, które powstrzymuje go przed pełnym uczestnictwem w życiu. Ten dystans zdaje mi się równie interesujący jak jego wygląd. Rzuca spojrzenie nad moją głowę; czyta nietrafiony slogan marketingowy i bezwiednie prychna.

– Proszę darować sobie żarty o flatulistach. Wysłuchałam dziś chyba wszystkich, jakie istnieją. Stać pana na więcej – mówię, zanim zdąży się odezwać.

Wiem, że moja wypowiedź jest zadziorna. Flirciarska nawet. Z zadziorności jestem znana, ale żeby zaraz flirtować? To dla mnie coś nowego. „Stać pana na więcej”. Jawny komplement. Zaproszenie wręcz. Ale do czego? Mój nowy znajomy jest co najmniej dekadę młodszy ode mnie. Co ja sobie myślę? A jednak czuć pomiędzy nami przepływającą energię. To znaczy mam nadzieję, że przepływa ona między nami, w obu kierunkach. Niemożliwe, by była jednokierunkowa. Niemal jestem w stanie jej dotknąć, posmakować.

To mało konkretne myśli jak na kogoś równie racjonalnego jak ja. Zwykle cenię to, co namacalne, mierzalne, policzalne. Tu jednak dostaję przypomnienie o czymś, o czym dawno zapomniałam. Przestałam randkować dwa lata temu. Zbyt mało absorbowała mnie praca, poza tym miałam serdecznie dość miłych spotkań, które nie pozostawiały po sobie nic poza utwierdzeniem mnie w przekonaniu, że ludzie kłamią. Znudziły mnie niezliczone, niekończące się rozczarowania: mężczyźni, którzy okazywali się niżsi, grubszy, bardziej łysi czy – co gorsza – nudniejsi, niż się reklamowali. Dlatego odciąłam tę część życia, tę część siebie. Zresztą nawet wcześniej tego rodzaju zwierzęcego magnetyzmu doświadczałam znacznie rzadziej, niżbym chciała. Mogłabym zliczyć te okazje na palcach jednej ręki. Tymczasem proszę. Teraz pojawił się głośno i wyraźnie. Wzbiera we mnie zainteresowanie, pragnienie, pożądanie.

– Nie będę stroił sobie żartów z pani marketingu, jeśli pani nie będzie sobie żartować z tego. – Wskazuje na zalaminowany identyfikator, który dynda na smyczy u jego szyi. Widnieje na nim napis: „Przepustka”.

Nie uśmiecham się, choć mam taką ochotę. To dobra riposta. I tak, sądzę, że nieznajomy ze mną flirtuje, ale jego identyfikator oznacza, że sam jest z prasy. Tymczasem ja mam na karku udziałowców i członków zarządu, to przed nimi odpowiadam; mam też podwładnych, dla których powinnam być wzorem. Dlatego muszę uważać. Tak atrakcyjny mężczyzna bez wątpienia wie, jak użyć swojego uroku, by zdobyć materiał. Zapewne myśli o napisaniu artykułu, oczywiście na wyłączność, który przedstawiałby osoby ze świecznika. Kobiety, jak przypuszczam. Wysłałabym na patentowaną idiotkę, gdybym się z nim spoufaliła i powiedziała mu coś, co mógłby zacytować wyrwane z kontekstu. Znam ludzi na stanowiskach, którzy trafili na dywanik w dziale personalnym i byli zmuszeni do uniżonych publicznych przeprosin, a nawet zostali strollowani czy skancelowani – nie za to, że uczynili coś nielegalnego czy niezgodnego z prawem, lecz za to, że wymsknęło im się coś, co nigdy nie powinno im się wymsknąć. Rzucając żart, że sama się czuję jak na przepustce, niewątpliwie bym go rozbawiła, ale zarazem popełniłabym zawodowe samobójstwo. Zawsze bardzo uważam na to, co mówię i jak się zachowuję. Jestem rozważna z natury i ostrożna z konieczności. Nagle jednak te cechy wchodzą mi w paradę. Żałuję, że je posiadam. Bo chciałabym z nim poflirtować.

Nie robię tego. Nie zmieniam wyrazu twarzy.

Jeśli nawet czuje rozczarowanie moim chłodem – bądź zmarwił się, że przekroczył pewną granicę i jego żart wypadł raczej kiepsko – w żaden sposób nie daje tego po sobie poznać. Uśmiecha się do mnie życzliwie i znienacka podaje mi rękę. Pragnę

poczuć jego ciepło, przekonać się o jego sile. Pragnę stwierdzić, czy uścisk ma mocny, czy o ułamek sekundy dłużej, niż powinien, będzie się ociągał z uwolnieniem mojej dłoni.

Ma.

Ociąga się.

Super.

– Matthew Charlton – oznajmia.

– Emma Westly – odpowiadam.

Rzuca mi szybki uśmiech.

– Nie musi się pani przedstawiać. Pani twarz widnieje na polowie materiałów marketingowych tej konferencji. Jest pani główną mówczynią.

Podoba mi się, że tak otwarcie przyznaje, iż wie, kim jestem. Niektórzy są na to zbyt nieśmiali, co stwarza niepotrzebną barierę zbudowaną z kompleksów. Tymczasem Charlton jest wystarczająco pewny siebie, aby przyznać, że mu imponuję – czy też, jeśli posunęłam się za daleko zbyt szybko, że przynajmniej jest świadom mojego istnienia. Też super. Często jestem główną mówczynią. W ubiegłym roku przemawiałam w Montrealu na konferencji stron w ramach Konwencji o różnorodności biologicznej. Zasiadam w komisji doradczej, która zawiadywała obradami 77. sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, podczas których omawiano sprawy dotyczące środowiska. Poproszono mnie o wystąpienie podczas trzech ostatnich Konferencji Stron – COP – w Bonn, Madrycie i Glasgow, gdzie pojawili się premierzy i prezydenci wielu krajów. Znam się na rzeczy, wierzę w to, co sprzedaję. Zależy mi na przyszłości nas wszystkich.

– Pani wystąpienie zacznie się o wpół do czwartej – raczej stwierdza, niż pyta. – Nie mogę się go doczekać. Właściwie muszę powiedzieć, że jestem tu z pani powodu. Za nic nie chciałbym tego przegapić.

Wystąpienia publiczne nie stresują mnie, tym bardziej więc jestem zdziwiona, że nagle czuję tremę. Myśl o tym, że ten człowiek będzie na mnie patrzył, kiedy stanę na scenie, sprawia, że czuję coś odlegle przypominającego trzepot motyli w brzuchu.

Chcę wyrzeć na nim dobre wrażenie.

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova